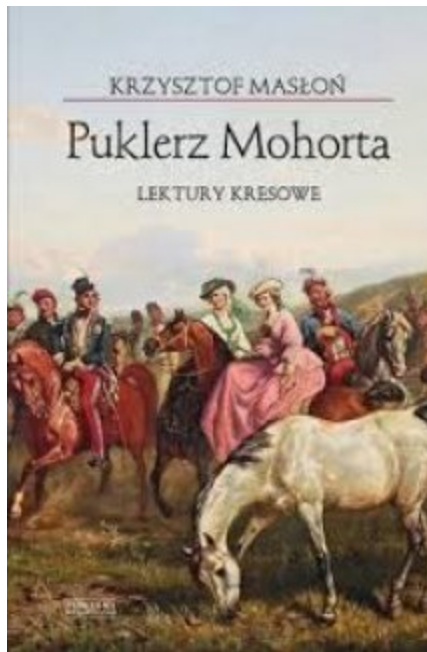


## **Puklerz Mohorta - Krzysztof Masłoń**

Książka Krzysztofa Masłonia tytułem nawiązuje do wielkiego rycerskiego rapsodu Wincentego Pola, "Mohort". Opowiada o Kresach poprzez historię pisarzy i ich dzieł. Ale może ważniejsze od nazwisk, nawet najświetniejszych, są tutaj miejsca, takie jak Wilno i Lwów, Krzemieniec i Drohobycz, Stanisławów i Czortków.

I choć od 17 września 1939 roku znajdują się poza granicami Rzeczypospolitej, to pozostały w naszych sercach.

A dlaczego Kresy? Bo bez nich nie ma literatury polskiej, nie ma polskiej kultury, w ogóle nie ma życia w jego najczystszej, najpiękniejszej postaci, gdyż - jak wiemy od Broniewskiego - "poza Słowackim i Mickiewiczem jest [ono] w ogóle niczem". (od Wydawcy)



Ostatnie oddziały polskie widziano w

Drohobyczu 17 września 1939 roku, w niedzielę. Następnego dnia do miasta weszli Niemcy, nie na długo. W sobotę po południu drohobyczanie zobaczyli na ulicach żołnierzy Raboczo-Kriestianskoj Krasnoj Armii.

**Krzysztof Masłon**

Puklerz Mohorta. Lektury kresowe

**rok wydania:** 2014

Wydawnictwo Zysk i S-ka

„Szli ósemkami bardzo ciasno, jakby sprasowani, na głowach mieli »budionki«, na plecach »sumki«, karabiny z bardzo cienkimi bagnetami, a u dołu szarych płaszczy wisały nici. Przy pierwszej ósemce szedł »zapiewajło« zagrzewający do śpiewu. W Rynku Niemcy przekazali miasto Sowietom, a orkiestry wojskowe obu »największych przyjaciół« odegrały »Deutschland, Deustchland« oraz »Internacjonał«. Tak zostaliśmy »wyzwoleni« z jarzma kapitalizmu, jak to odtąd codziennie słyszeliśmy z głośników od politruków, czytaliśmy w gazetach i na plakatach” — wspominał Jerzy Drobiszewski z Australii, jeden z uczniów Brunona Schulza (1892–1942) w drohobyckim Gimnazjum Króla Władysława Jagiełły.

„Schulz był szczupły, niewysoki i jakby zamyślony — takim go zapamiętał - Chodził po dziedzińcu szkolnym z rękami założonymi do tyłu i stawiał kroki ostrożnie, podnosząc kolana do góry. Spacerował z reguły sam, rzadko widzieliśmy go w towarzystwie innego nauczyciela. Mój ówczesny kolega, a dzisiaj mieszkaniec Melbourne, Zbyszek Leżoń, zapamiętał jego niezwykle nadwrażliwą reakcję na widok wchodzącego po drabinie. Schulz trząś się wtedy z przerażenia”.

Ze wspomnień takich jak to, ludzi, których losy rzuciły do Melbourne i do Jerozolimy, Legnicy, Gdańska i Łęczycy, ale i z relacji ostatniego, zapewne, przedwojennego Żyda wciąż mieszkającego w Drohobyczu — Alfreda Schreyera złożona jest książka Wiesława Budzyńskiego: *Uczniowie Schulza* (PIW, Warszawa 2011). Tym samym domknięta została trylogia, której pierwszymi tomami były *Schulz pod kluczem* i *Miasto Schulza* tego samego autora.

Ubywa, niestety, świadków tego nieszczęścia, które — jak powiada Budzyński — „spadło na Drohobycz wraz z najazdem barbarzyńców, a nie wiadomo było, który gorszy, czy ten ze wschodu, czy ten z zachodu”. „...Władysław Chciuk, lotnik, najstarszy z braci, zmarł na obczyźnie, a nikt [jego] wspomnień nie spisał; inni, jak Mieczysław Makarski, też uczeń Schulza, żyli wśród nas i nikt prawie nie wiedział, co tak naprawdę przeżyli i co śni im się po nocach... A żyli przecież i nauczyciele, koledzy Schulza; chemik Tadeusz Smolnicki, czy [...] polonista Mściwujewski. Nikt ich o nic nie pytał, a jeśli ktoś się nimi interesował, to był to urząd bezpieczeństwa, który tym ludziom nie dawał spokoju, zatruwając i tak pokiereszowane życie.

W naszych już czasach organizuje się w Drohobyczu festiwale Schulzowskie, międli w kółko to samo, lansuje ludzi, którzy nie bardzo wiedzą, kto to Schulz, gdy tymczasem odchodzą ostatni świadkowie Schulza. Nikt ich nie zaprasza na owe uczone konwentykle, górnolotnie nazywane festiwalami. Ucieka część duszy Schulza, przemijają ślady tego świata, który tylko oni jeszcze w sobie noszą, a czego nawet najbardziej uczone głowy nie zastąpią”.

A świadectwa bywają sensacyjne. Dziesięć lat temu jeden z młodszych uczniów Brunona Schulza — Feliks Milan, którego autor *Sklepów cynamonowych* uczył za Sowietów, w dziesięciolatce powołanej przez okupanta w miejsce sławnego gimnazjum, stwierdził na przykład, że w Drohobyczu w tym czasie inspektorem oświaty był... Artur Sandauer, po latach sławny krytyk literacki, mieniący się odkrywcą Schulza właśnie. Niewątpliwie znał on Brunona Schulza sprzed wojny, ale — zdaniem Milana — „raczej go nie forował”. Wiesław Budzyński dodaje tu na marginesie, że „to pierwsza taka informacja, Sandauer — jak się zdaje — o swojej karierze inspektora oświaty sowieckiej nigdy nie napomknął... Są też ślady późniejszej, pod okupacją niemiecką, roli Sandauera w Drohobyczu, ale nie udało się tego w 100 procentach potwierdzić, więc na tym poprzestaniemy”.

W lutym 1940 roku w Drohobyczu miały miejsce masowe aresztowania. Dwa miesiące później państwo Drobiszewscy otrzymali list od zesłanych na Syberię sąsiadów, państwa Kondrackich: „Jest nam tu bardzo dobrze, chodzimy do pracy 18 kilometrów, przyślijcie trochę kaszy”. Nadali przesyłkę, po czym otrzymali kolejny list: „Paczka przyszła, dziękujemy, ale nie możemy jej odebrać, bo poczta 90 km od nas”.

W czerwcu 1940 roku nastąpiła nowa deportacja, w 1941 roku — następne. „Wreszcie ranek 22 czerwca. Samoloty i wybuchy. Spotkany Sowiet wyjaśnia, że »eto maniewry«. O dwunastej w radiu przemówienie Mołotowa i wszystko jasne...”.

Pytany o to, czy Schulz bał się Sowietów, Feliks Milan odpowiedział, że bali się wszyscy, „choć może nie w równym stopniu. Schulz nie miał odpowiedniego pochodzenia, ponieważ jego ojciec posiadał sklep bławatny, a on sam nie był też lewicowcem i był raczej postrzegany jako polski nauczyciel, nie jako Żyd. Już to mogło być groźne...”.

Po wejściu Niemców w 1941 roku do miasta Bruno Schulz nie uczył już w szkole. Zamieszkał na terenie getta, dostał się do brygady inżyniera Backenrotha. Kiedy brygada remontowała mieszkanie gestapowca Feliksa Landaua, twórca *Xięgi Bałwochwalczej* wykonał tam, w pokoju dzieciennym, malowidła dla jego dzieci.

Dziewiętnastego listopada 1942 roku w tak zwanej dzikiej akcji, zarządzanej przez Niemców po tym, jak żydowski aptekarz Kurtz-Reines strzelił do gestapowca Hubnera, raniąc go w palec, zginęło — według oceny Samuela Rothenberga — 230 Żydów: „Zostali zastrzeleni jak psy: Bruno Schulz i technik dentystyczny — Dolek Low...”. „Tu Rothenberg — komentuje Wiesław Budzyński w *Uczniach Schulza* — prawdopodobnie się pomylił — Adolf Low, popularnie Dolkiem zwany, został bowiem już wcześniej zastrzelony przez Landaua. Jedna z wersji śmierci Schulza mówi, że właśnie to było powodem »rewanżu« Gunthera na Landale, ponieważ Low leczył Guntherowi zęby i ten uważał go za »swego Żyda«. Więc Schulz jako przyboczny, osobisty lub »...ulubiony Żyd« Landaua, był zagrożony”.

Gunther zastrzelił Brunona Schulza koło Judenratu, gdy miał już on fałszywe papiery i sposobił się do wyjazdu z Drohobycza. Miało to nastąpić nazajutrz.

